

J A K U B
NOWAK

TO PRZEZ
— T E N —
WIATR



powergraph

Warszawa 2022

Copyright © 2022 by Jakub Nowak
Copyright © 2022 by Powergraph
Copyright © 2022 for cover by Tomasz Majewski
Copyright © 2022 for endpapers by Tomasz Majewski
Copyright © for source graphic elements by Jan Mieczkowski (The National Library of Poland, public domain), Kazimierz Pochwalski (National Museum in Kielce, public domain), Posnov via Getty Images

Wszelkie prawa zastrzeżone.
All rights reserved.

Redaktor prowadząca serii: Kasia Sienkiewicz-Kosik
Redakcja: Krzysztof Cieślik
Korekta: Maria Aleksandrow
Skład i łamanie: Powergraph
Okładka: Tomasz Majewski
Wykorzystane obrazy i zdjęcia: Jan Mieczkowski (Biblioteka Narodowa, domena publiczna),
Kazimierz Pochwalski (Muzeum Narodowe w Kielcach, domena publiczna),
Posnov via Getty Images
Wyklejka: Tomasz Majewski
Projekt graficzny i opracowanie: Rafał Kosik

Wyłączny dystrybutor:
Dressler Dublin sp. z o.o.
ul. Poznańska 91, 05-850 Ożarów Mazowiecki
tel. (+ 48 22) 733 50 31/32
e-mail: dystrybucja@dressler.com.pl
www.dressler.com.pl



Wydawca:
Powergraph Sp. z o.o.
ul. Ceglowska 16/2, 01-803 Warszawa
tel.: 22 834 18 25
powergraph.pl
e-mail: powergraph@powergraph.pl

ISBN 978-83-66178-76-2

Druk: Białostockie Zakłady Graficzne SA
Printed in Poland, EU

dla Agaty

„(...) to dumna pani europejska wjeżdża w Amerykę,
nie emigrantka zginająca kolana przed Nowym Światem.
To kobieta z rasy konkwistadorów”.

Józef Szczublewski, *Modrzejewska. Życie w odślonach*

„(...) wszystko bowiem, co stamtąd przychodzi,
jest jakby tchnieniem śmierci.
W tych to gorących piaskach szarańcza składa swoje jaja na zimę,
a wiosną ciągnie w postaci chmur na cudne doliny Kalifornii,
zostawiając po sobie bezlistne drzewa i bezwstydnie gołą ziemię;
stamtąd i nareszcie, od Gila i suchych jezior,
wieje wiatr zwany w anaheimskiej dolinie: *Santa Ana wind*.
Powinni by go raczej nazywać: *Desert wind* lub *Gila wind*.
Są to prądy rozpalonego powietrza, z którego pustynia wysała
wszelką świeżość i wilgoć, (...) przesycała natomiast
elektrycznością. (...) Jest on tym samym dla Kalifornii,
czym sirocco dla Sycylii, solano dla Hiszpanii, a samum dla Arabii.
Mniej zapewne od tamtych niebezpieczny i rzadszy,
bo wieje tylko jesienią i w zimie, rozstraja jednakże nerwy ludzkie,
wysusza mięśnie, skręca liście na drzewach
i przejmując strachem zwierzęta”.

Henryk Sienkiewicz, *Listy z podróży do Ameryki*

„Nadeszła radość
Oczyrna duszy widzę
Tę piękną siekierę leącą wprost we mnie”.

David Eugene Edwards, *The Beautiful Axe*

1

— A może weszłaby pani na szafot, hrabino, i nam zaśpiewała, zanim zaczniemy wieszanie — powiedział Augustus Langenberger, przewodniczący Rady Miejskiej Anaheim, do Heleny Modrzejewskiej, po mężu Chłapowskiej.

— Wolałabym nie — odparła Helena po chwili namysłu.

— Szkoda — odrzekł Langenberger. — Czytałem w gazecie, że wielka z pani artystka. Tak mi się pomyślało, że moglibyśmy posłuchać, jak pani śpiewa. Choć rzeczywiście marna to scena — dodał bez cienia wesołości.

Drewniany szafot stał na miejskim placu Anaheim, tuż obok aresztu, lichego parterowego budynku z suszonej cegły, na którego dachu wyrzewały się jakieś zwierzątka.

Całe miasteczko zeszło się przyglądać umieraniu. Ludzie tłoczyli się wokół szafotu i w kolejkach do straganów ze słodyczami i whiskey laną do blaszanych kubków. Podrostki w kusych portkach i koszulach po ojcach obsiadły drzewa pieprzowe pośrodku placu. Kobiety, by coś w ogóle dojrzeć zza kapeluszy mężczyzn stojących w błocie, gromadziły się na drewnianych chodnikach

wzdłuż sklepów i wyszynków. Hiszpańskojęzyczni *Californios* trzymali się razem, ubrani biedniej i bardziej kolorowo. Twarze zebranych lśniły w wieczornym słońcu. Purpurowa tarcza gotowała się już do zniknięcia, jak co wieczór od zarania tego świata, w topieli oceanu, który nieznużenie przybijał do lądu dwadzieścia kilometrów dalej.

— Wieje tej jesieni, jakby sam diabeł dmuchał — westchnął Augustus Langenberger. Zdjął kapelusz i oddał go jednemu ze starych kowboi za plecami. Przewodniczący przejechał dłonią po wypomadowanych włosach, roznosząc zmieszane wonie mokrego psa, kwiatów róży i lawendy. Ubrany był w garnitur ziemianina, ale dłonie miał jak ranczer.

Wiało, rzeczywiście. Gorące podmuchy staczały się z gór na wschodzie, a potem, rozpędziwszy się na równinach południowej Kalifornii, wpadały do miasteczka, siekąc piaskiem po wszystkim wokoło.

— Profesor musi dobrze wyrychtować sznur, żeby stary Lorenz od razu skręcił kark — stwierdził Augustus Langenberger, gładząc się po starannie przyciętej brodzie, której nie chciała przyprószyć siwizna.

Langenberger, zorientowawszy się, jak słabo Helena mówi po amerykańsku, z uprzejmości mówił do niej po niemiecku, w języku swych dziadów z saksońskiego Stadthagen. Teraz jednak bezceremonialnie odwrócił się ku jej towarzyszom po jego prawicy.

Helena westchnęła, niech rozmawiają. To od Langenbergera wynajęli farmę, na którą zjechali przed dwoma tygodniami. Był, na ile potrafiła się zorientować, niekwestionowanym panem tego miasta. Ich nowego miejsca na ziemi. Zerknęła na męża. Karol Chłapowski, wychyliwszy się, posłał jej uśmiech. Wiatr targał jego włosami jak

gałązkami w opuszczonym gnieździe. Mężczyźni mlaskali. Jedli cukierki, które kupił Sienkiewicz.

Znowu zawiało, a miasto westchnęło, gdy na szafot wszedł kat. Helena uniosła brew. Czarnoskóry mężczyzna w czystym wełnianym garniturze. Przyniósł narzędzie pracy, zwinięty na ramieniu konopny sznur, moczony w wodzie, suszony na słońcu i natłuszczony. Kat wspiął się na stołek stojący pośrodku podestu i owinał linę wokół belki nad głową, mocując ją do stalowych obręczy. Wyjął z kieszeni miarkę i dwukrotnie sprawdził długość wiszącego kawałka sznura.

— Dopiero co zważyli Lorenza — powiedział Augustus Langenberger. — Profesor nie mógł się przygotować zawczasu.

Ma dobre wyczucie tej drewnianej sceny, pomyślała o kacie Helena, ma świadomość przestrzeni i widowni. Potrafiła to stwierdzić.

— Szafot macie fest — pochwalił Sienkiewicz.

— Prawda — przytaknął Langenberger. — Choć rzadko w użyciu. Ostatnio tylko na Indian i Meksów. Poznali już państwo profesora? — spytał, wskazując kata.

Sienkiewicz przytaknął.

— Golibroda, prawda?

— Tak jest. Profesor J.H.T. Dean, najlepszy balwierz w okolicy. Nie mamy w mieście kata na etacie i czasem ślemy po jednego z Los Angeles. Ale na Indian czy takich jak ten, co będzie dzisiaj — Langenberger wskazał na szafot — profesor się nada.

Helena nie wiedziała, co odpowiedzieć.

— Pan Dean ma zakład na rogu Północnej i Cytrynowej — ciągnął Langenberger. — Z dwiema kapitalnymi baniami w pokoikach na zapleczu. Gorąca woda, zimna. Kapitalne.

— Dlaczego profesor? — spytała Helena, lecz Langenberger jej nie słuchał.

Nie nawykła do takiego traktowania. By zdusić irytację, studiowała przystojną twarz kata. Wróciła myślami do błysku siekiery w porannym słońcu, który dał początek czekającemu ich spektaklowi. Czuła, jakby coś przesuwalo jej się w żołądku.

To Sienkiewicz zobaczył przewodniczącego na placu. Kiedy Langenberger odmachal im na powitanie, podeszli do niego razem – Sienkiewicz, Helena i jej Karol, i dwaj pozostali Polacy, Julian Sypniewski i Łucjan Paprocki.

Nagle plac miejski w Anaheim zawibrowal jak owadzi rój podrywający się z krzewu bylicy, bo oto zmierzali na szafot krótką, niezborną kolumienką: pastor, szeryf, skazaniec, a za nim dwaj chłopcy, pomocnicy szeryfa. Stary Lorenz, jej nowy sąsiad w tym dziwnym świecie, szedł w łachmanach, w których widziala go rankiem, poplamionej koszuli i wełnianych portkach wciągniętych w skórzane buty pamiętające może jeszcze czasy Hiszpanów.

Helena wiedziala, skąd te plamy.

Stanęli rzędem na szafocie. Pętla zatańczyła na wietrze. Stary Lorenz był bez kapelusza.

Pastor szybko odczytał modlitwę, po czym opuścił podest. Kat obwiał stopy, kolana i łokcie skazańca, który – nagle pozbawiony równowagi – zakołysał się, zagarnięty podmuchem, i runął na dechy niczym bela materiału. Podnieśli go szybko i przytrzymali, kiedy profesor zakładał mu pętlę na szyję, chowając węzeł za lewym uchem.

Helena poczuła, jak drobinki piasku drażnią jej oczy pod powiekami.

Włożyli mu worek na głowę i odsunęli się. Kat pociągnął za dzwignię zapadni. Zaskrzypiała, lecz nie drgnęła.

Och, wyrwało się miastu, profesor J.H.T. Dean szarpnął znowu, zapadnia poszła z hukiem, strasząc sówki, które wystrzeliły ku niebu z dziur pod dachem aresztu, a stary Lorenz, żonobójca, runął w tę mikroskopijną przepaść.

— Zuch — rzekł Augustus Langenberger, nie wiadomo, o kacie czy skazanym, który wirował na sznurze, kołyszany nieustępliwym wiatrem.

Profesor J.H.T. Dean wyjął z kieszeni marynarki zegarek. Począł odmierzać czas, siedem minut, po których ogłosi bezsprzeczne nadejście śmierci i pozwoli odciąć ciało ze stryczka.

Lorenz był ich najbliższym sąsiadem, miał gospodarstwo kawałek w dół wzgórza, kilka minut drogą od ich farmy. Helena patrzyła, jak stary wisi, trzydzieści stóp od niej, i jak kapie mu z butów. Uświadomiła sobie, że nigdy wcześniej nie podeszła bliżej do sąsiada niż teraz.

Opuściła wzrok, falbany obrębiające suknię miała w błocie. Powinna ją skrócić, resztę sukien też. Nie chciała podnosić wzroku na szafot, więc patrzyła w błoto i słuchała, jak jej Karol i pan Henryk Sienkiewicz oddają się niezobowiązującej konwersacji z przewodniczącym Langenbergerem.

Mrok dopadł Helenę Modrzejewską zniecka, kiedy słońce przycupnęło za najniższym na placu budynkiem Krawieckiej Pracowni Morrisa A. Mendelсона.

2

Henryk Sienkiewicz uważniej wejrzał we własne serce kilka miesięcy wcześniej. Letniego kalifornijskiego popołudnia przyszli po niego, by został ich bohaterem.

Pisał od rana, w wynajętym pokoiku jedyne go piętrowego budynku w Anaheim Landing.

Siedział przy stoliku, pochylony nad kartką, kałamarzem i pugilaresem z Krynicy-Zdroju, w którym trzymał pióra. Palił jednego papierosa za drugim, pocąc się w wełniane portki, a nagie plecy lepiły mu się do oparcia krzesła. Wilgotne prześcieradło w otwartym oknie nie łagodziło morderczego upału ani nie powstrzymywało much, które zlatywały się nad wiadro ze szczynami, stojące obok siennika rozłożonego na podłodze. Od gorąca skrzypiały nawet drewniane ściany pokoju.

Kilka tłustych amerykańskich pszczoł zataczało okręgi nad głową Sienkiewicza, jakby czekając, by wykraść mu pomysły. Kartka, nad którą siedział od świtu, była pusta.

Kiedy przyszli, wpuścił ich do środka.

Dobrze, że jesteś, Henry, ucieszyli się, najlepszy strzelec w całym Landing. Trzeba nam uratować jedno piękne meksykańskie dziewczę.

Sienkiewicz wysłuchał ich. Pstryknął papierosem do wiadra, zdjął okulary i odłożył je na stolik. Na ramiona narzucił skórzaną kamizelę i przywdział szeroki, skwaterski kapelusz. Stłoczeni w pokoiku, patrzyli, jak ładuje karabin.

Alright, powiedział im wreszcie i wyszli, wszyscy razem.

Andrew, tutejszy Polak, przyprowadził do Sienkiewicza *señora* Machado, starszego *Californio*, którego Sienkiewicz już widywał. Pan Machado był stolarzem z doliny, sprzedawał rybakom z Landing narzędzia i naprawiał im łodzie. Przyjeżdżał tu z podrostkami, synem i córką, którzy pomagali przy robocie.

Rodzina Machado jadła obiad, relacjonował Andrew, kiedy dosiadł się pijany jankeski mieszczuch i dosłownie porwał dziewczynę, ciągnąc ją do innego stolika. Bełkotał, że jeszcze dziś wywiezie ją do Los Angeles.

Señor Machado nie powiedział ani słowa, trząśł się tylko i ścisnął dłoń syna. Chłopiec był niemal wzrostu Sienkiewicza.

— Panie Machado — zapytał Sienkiewicz — czy to prawda?

— *Sí* — odparł *Californio*.

— Do dzieła — rzucił Andrew, gdy wyszli w sierpniowy żar jedynej ulicy w Anaheim Landing. Poprawił rewolwer wystający zza przewiązanych sznurkiem spodni. Sienkiewicz znał drogę, w Landing była tylko jedna gar kuchnia, prowadzona przez starego Lionela.

Szli we czterech, łachmaniarz Andrew na czele, za nim Sienkiewicz i dwaj Machados z tyłu. Trudno uwierzyć, że dwieście metrów za plecami mieli ocean, kiedy nawet kurz, który wzbijali, zdawał się parzyć im twarze.

Anaheim Landing było drewnianą osadą, od zawsze podupadłą, głodną i pijaną. Powstała jako morska przystań dla pobliskiego Anaheim, lecz odkąd do miasta dotarła kolej, port przestał być potrzebny. Do Landing zaczęli przyjeżdżać letnicy, głównie mężczyźni, którzy zażywali kąpeli, a potem, z głowami rozgrzаныmi słońcem i whiskey, chętnie do siebie strzelali.

— Ten gagatek — rzucił Sienkiewicz, nadal po amerykańsku — to jakiś mieszczuch, tak?

— Taa — potwierdził Andrew. — Słyszałem, jak się przedstawia Lionelowi. Że on jest kolejarz czy coś takiego.

Sienkiewicz mocniej ścisnął broń, stal lufy karabinu była chłodna. Wyszynk Lionela znajdował się niedaleko.

Henryk Sienkiewicz był szczęśliwy.

Szedł zaprowadzić sprawiedliwość i nie wykluczał, że wybrzmi ona karabinowym wystrzałem, niosącym pomoc dostojnemu synowi tej ziemi. Szerszy kontekst planowanego czynu budził w nim pewne wzruszenie. Nie chodziło tylko o zagubionego *Californio* i honor jego córki, którą uchroni przed pohańbieniem z ręki aroganckiego, podłego przybysza. Chodziło o odwagę, by powstać i wystąpić przeciwko *extranjero*, a jednocześnie tym gestem, śmiałym i prawym, rzucić symboliczne wyzwanie wszystkim obcym, którzy przychodzą i biorą, co nie swoje. Myśli pana Henryka mknęły ponad Atlantykiem ku Staremu Światu, ku jego starszemu bratu Kazimierzowi, który przelewał krew w narodowym powstaniu i, równie heroicznie co bezsensownie, pod Orleanem oddał życie za upadającą Francję. Myśli Henryka pędziły ku wszystkim walczącym dzielnie Polakom, których kochał jak braci, kiedy walnąwszy pięścią w stół, żegnali się z matkami i siostrami i ruszali w bój. Pędziły ku młodzieńcowi, który poszedł do tajnego punktu werbunkowego w styczniu

sześćdziesiątego trzeciego. Zostań w domu, synku, potrzebujemy cię nad książkami, rzekł mu tam stary mężczyzna i uśmiechnął się do niego, wzruszony, oceniwszy delikatną sylwetkę nastoletniego Sienkiewicza.

Zostań w domu, synku.

Sienkiewicz miał już trzydzieści lat, lecz w chwilach takich jak ta emocje nadal z trudem mieściły się w jego ciele. Najlepszy strzelec w całym Landing. Karabin Henry, który Sienkiewicz brudził teraz poplamionymi inkaustem dłońmi, miał piętnaście naboji w podlufowym magazynku.

Sienkiewicz pomyślał o nękaniej dziewczynie i uznał, że Andrew może kierować się czymś prostszym.

Byli już przed samym wyszynkiem, kiedy Sienkiewicz potknął się i upadł w piach. Każda szczerbata szumowina z Anaheim Landing patrzyła, jak wstaje i podnosi karabin. Nikt się nie uśmiechnął.

Przed drewnianym budynekczkiem, w którym stary Lionel sprzedawał placki i kompot, uwiązanych było kilka koni i stał wóz pana Machado.

Zatrzymali się przy drzwiach. Były otwarte, zardzewiały kociołek blokował je przed zamknięciem. Para pelikanów obserwowała ich z dachu garkuchni.

Andrew powiedział coś po hiszpańsku do pana Machado, puścił oko do rodaka, poprawił rewolwer zatknięty za portki i zniknął w środku. *Californio* spojrział na Sienkiewicza. Wchodźcie, popędził go pan Henryk. Pan Machado zmrużył oczy, po czym ścisnął dłoń syna i postuchał.

Sienkiewicz może nawet wszedłby za nimi, lecz wtedy dostrzegł tamtego Meksa i pojął, że mężczyzna nie jest stąd. Otyły kowboj siedział dupskiem w piachu, oparty o ścianę wyszynku, i chowając twarz przed słońcem pod rondem kapelusza, pakował sobie do ust okrawki słoniny

z miski na brzuchu. Kowboj spojrział na Sienkiewicza. Pas z pełną kaburą leżał obok.

Sienkiewicz odsunął się od wejścia. Miejscowe łachudry obserwowały teraz ich obu. Słońce grzało tak mocno, że niemal słyszeli, jak płonie, jak się gotuje nad nimi.

Nagle ze środka dobiegło kilka wystrzałów rewolweryowych. Sienkiewicz aż podskoczył i z roztargnieniem spojrział na karabin trzymany w dłoniach. Grubas spod ściany zdjął miskę z brzucha i nie przestając się wpatrywać w Sienkiewicza, wytarł tłuste palce o wełnę spodni.

W środku ktoś rozplakał się głośno. Chmura prochowego dymu wypełzła przez otwarte drzwi wyszynku i poczęła rozwiewać się, niczym wypuszczona na wolność pustynna kreatura o ciele wysnutym z mgły.

Meksykański grubas patrzył na Sienkiewicza.

Z garkuchni Lionela wyszedł mężczyzna. Wysoki i szczupły, ubrany w miejski kapelusz i zakurzony podróżny garnitur. Z kabury przy pasie wystawała rękojeść rewolweru. Broń jeszcze trochę dymiła.

Mężczyzna rozejrzał się i dostrzegł Sienkiewicza.

— Dzień dobry — skinął na powitanie. Miał ładny głos, dźwięczny i melodyjny.

— Dzień dobry — odpowiedział Sienkiewicz i idąc za wzrokiem nieznajomego, przypomniał sobie o karabinie. Opuścił go wzdłuż ciała.

— No żeż kurwa — powiedział nieznajomy. — Gorąco jak w piekle.

Uśmiechnął się spod gęstego wąsa. Mógł być w wieku Henrykowego ojca.

— Calvin Vinatieri — przywitał się. — Agent terenowy Przedsiębiorstwa Kolejowego Southern Pacific.

— Henryk Sienkiewicz. Literat z Warszawy.

Mężczyzna uniósł brwi, po czym uściśli sobie dłoń.

Zawodzenie w garkuchni nie ustawało. Ze środka nie wyszedł nikt więcej.

Ani jeden uliczny łachudra nawet nie drgnął.

— Literat — powtórzył pan Vinatieri. Miał świeże krople czyjejs krwi na szyi. — Strzelał pan kiedyś do drugiego człowieka, panie Sienkiewicz?

Oczy Calvina Vinatieriego były jak górskie potoki.

— Nie — odparł Sienkiewicz. — Nie strzelałem.

— No cóż. Miło było poznać. — Mężczyzna odwrócił się i zaczął oporządzać konia.

Żaden z nich nie mógł wiedzieć, jak podobny los, dziki i krwawy, czeka ich najbliższej jesieni.

Vinatieri poprawiał siodło, a gruby Meksykanin już zapinał pas na stojąco. Sienkiewicz rozejrzał się po ulicy, wziął głęboki oddech i wszedł do środka.

W garkuchni było ciemno, ciasno i aż gryzło w oczy od oparów gorącego tłuszczu. Ludzie siedzieli przy małych, jakby dziecięcych stoliczkach. Pan Machado kłęczał pod ścianą, tuląc do piersi swe dzieci. Jedno z nich wyło, lecz Sienkiewicz nie był pewien które. Stary Lionel spojrział Polakowi w oczy i wskazał na drzwi do ogrodu. Sienkiewicz posłuchał i spostrzegł, że klepisko, po którym idzie, jest wilgotne.

W małym, otoczonym wysokim płotem ogrodzie stał stół i rosły dwie jabłonie. Na ławie przy stole, tyłem do wchodzącego Sienkiewicza, kulił się Andrew. Sienkiewicz odłożył karabin, wrócił do wyszynku i poprosił Lionela o dwa piwa.

— Masz pieniądze? — spytał kucharz.

— Nie mam — odparł Sienkiewicz.

— To kto za to zapłaci?

— On. — Sienkiewicz wskazał na tulącego dzieci *Californio*.

Lionel nalał i Sienkiewicz zaniósł kufle do stołu w ogrodzie. Usiadł na ławie obok Andrew. Andrew pachniał brzydko i oddychał z trudem. Ziemia pod jego trzewikami coraz bardziej rozmiękała.

Andrew dostrzegł piwo i z wysiłkiem podniósł wzrok na Sienkiewicza. Strach wydobył na jaw jego prawdziwy wiek i pan Henryk z zaskoczeniem dostrzegł, że Andrew jest od niego młodszy. Ranny mężczyzna z całych sił ścisnął dłońmi ławę, na której siedzieli.

— Tośmy się — zaczął Andrew, próbując przełknąć ślinę — wpakowali.

Sienkiewicz przymknął oczy. Słońce nad nimi płonęło, listkami jabłoni nie poruszał najśłabszy podmuch.

Spróbował dyskretnie zajrzeć pod stół zobaczyć brzuch towarzysza.

— Już nie ma co — szepnął Andrew i się rozkasnął, niemal rozlewając piwo. — A pan?

Sienkiewicz nie rozumiał.

— Trafiał pana? — spytał chłopak. — Bo nawet żem nie zauważył.

Sienkiewicz długo nie odpowiadał, po czym zaprzeczył.

— Przepraszam — powiedział Andrew i w jego oczach błysnął podziw. — Był taki szybki. Nawet do nas... nie wstał.

Sienkiewicz milczał. Po czole Andrew chodziły muchy. Ktoś stanął za ich plecami, ale zaraz sobie poszedł.

— Zimno tu — szepnął Andrew po polsku.

Sienkiewicz zawahał się, po czym włożył mu na głowę swój kapelusz.

— Elegancko — skomentował Andrew.

— Chcesz pan piwa?

Andrew nie odpowiedział. Sienkiewicz spróbował napić towarzysza, lecz wszystko pociekło po brodzie i szyi za koszulę, a kapelusz spadł w błoto. Sienkiewicz podniósł go – był mokry od krwi – i odłożył na stół.

— Przepraszam — powtórzył Andrew.

— Ja też — wyszeptał pan Henryk.

— Ta dziewczucha — zaczął chłopak — córka pana Machado. Zasadzam się na nią drugie lato. Stary dobrze jej pilnuje. Dwanaście tysięcy, powtarza. Dwanaście tysięcy dolarów posagu.

Sienkiewicz słuchał, jak Andrew powoli składa słowa:

— Pomyślałem sobie, że spojrzę na mnie inaczej. Że oni oboje. Jak na bohatera.

Sienkiewicz słuchał. Zielone muchy obsiadły klepisko wokół trzewików chłopaka.

— Nawet nie wiem. Jak ma na imię.

Pan Henryk wypił duszkiem pół piwa.

— Jest taka jedna dziewczucha — zaczął. — Helena. Przyjedzie tu jesienią, z całą kompanią. Znalazłem dla nich farmę pod Anaheim, będą uprawiać winogrona. Chyba do nich dołączyć.

— Helena — powtórzył Andrew i coś gęstego pociekło mu z kącika ust po brodzie. — Ile?

— Co ile?

— Ile chcą za nią posagu?

— Nie chcą — odparł Sienkiewicz. — Ma męża.

— To masz pan łatwiej — uśmiechnął się Andrew.

Sienkiewicz tylko wzruszył ramionami.

— Boję się, panie Henryku. Pomodlisz się pan za mnie?

Pomodlił się za niego do Pana Boga i do wszystkich świętych, a słońce przyjęło każdą z modlitw. Chłopak kulił się obok.

— Muszę iść, panie Jędrku — powiedział Sienkiewicz.

— Zostań pan jeszcze trochę.

— Muszę iść.

Wstał i spojrział w niebo. Oceniał, że kapelusz podsechł i włożył go chłopakowi na głowę.